№ 40.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 7. Października.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 4, na ćwierć roku talarów 2, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Dwa pogrzeby.
Powieść.

(Dokończenie.)

Po kilku mszach i kazaniach, przy jęku dzwonów, wstawiono zmarłego do grobu. Na grobie postawiono biały marmur z długim złotym napisem, jakby rękę skościałą, którą zmarły podaje przyszłym pokoleniom. Ale jeżeli swego życia niepoświęcał ludzkości, ani był światłem przyświecającém drugim i żył tylko dla siebie, naprózno wieki będzie wyciągał to ramię, nikt się z bijącém sercem do niego niezbliży, nieodsłoni wianków bluszczu, zakrywających napis. Zniknie bez pamięci pod ręką czasu, jak i krzyż zrobiony na piasku grobowca, który pierwszy wiatr zagładza.

Sznur powozów ciągnął do domu nieboszczyka, gdzie każdy po trudach nabożeństwa spodziewał się zastać dobry posiłek.

Wkrótce pokoje napełniały się przybyłymi, a piętno smutku, w które się twarze poubierały przy nabożeństwie, zniknęło w gwarze powitań i rozmów. Rozstawione po stolikach śniadanie połączyło osoby, które miały ochotę ku sobie się zbliżyć. Emilia u jednego stolika częstowała, kiedy się do niéj przysunął Edward i przedstawił jéj pana Jana Lirskiego, swego ciotecznego brata z Litwy. Jan i Emilia ukłonili się wzajemnie, a Edward mówił śmiejąc się: »Nieprawda, żeśmy sobie z Janem podobni, choć on brunet a ja blondyn, on wysoki a ja niski.«

»O i bardzo! widać, żeście panowie bracia« odpowiedziała Emilia z lekkim uśmiechem.

Edward głośno przedstawiał wszystkim swego ciotecznego brata, kilku tylko mężczyznom szepnął coś do ucha — a te słowa były czarujące, gdyż ci byli dla Jana bardzo serdeczni, mieli wiele do słuchania i opowiadania, jakby staremu znajomemu.

Mężatki zasiadły kanapy w salonie, panny uformowały koło przy nich, mężczyzni wili się po wszystkich pokojach. W jadalnéj sali miano stawiać na stół, kiedy wszedł pan Ignacy, brat nieboszczyka, gospodarz pogrzebowéj stypy. Stanął we drzwiach i znawcy okiem rzucił na stół, czy ogół dobrze ustawiony. Potém, jak każdy mistrz, przystąpił do szczegółowego oglądania, a spostrzegłszy coś uchybionego, pokazywał służbie, i choć sam niewielkiego wzrostu a dobréj tuszy, wspinał się na palce przeginając się na stół z niebezpieczeństwem stracenia równowagi. Urządziwszy jak mu się najlepiéj zdawało, wsadził ręce w kieszenie, obszedł jeszcze raz stół, i zadowolony wyszedł ze sali. Jego duszę tak silnie zajęły torty i galarety, że całkiém zapomniał o smutnym celu téj uroczystości, zapomniał, że to miał być skromny posiłek dla tych, co oddali ostatnią posługę nieboszczykowi, a nie popisywanie się z możnością wyprawienia stypy. Lecz nałóg popisywania się tak był u niego wkorzeniony, że nietylko był dumny z swych rupieci, z szalów i czepków swéj żony, ale nawet zdawało mu się, że rośnie jego osobista godność na każdą skorupę i srebro, wniesione do pokoju w domu brata. Zresztą miał dobre serce i brata szczerze żałował, lecz właśnie dla tego chciał, żeby na jego pogrzebie było wszystko, jak to mówią, uczciwie. Darujmy mu, że teraz żal uleciał gdzieś daleko, bo w jego głowie i sercu stał stół wystawnie nakryty.

Wrócił do bawialnych pokoi, prosząc mężczyzn, żeby kobiety brali do stołu, i przejechawszy ku gó-

rze palcami pół czarne pół siwe włosy, wyprężony przybliżył się z ukłonem do pani, nie najstarszéj wiekiem, ale do téj, co miała najdroższy szal, i prawie nieustannie mówiła po francuzku; prawą rękę zgiętą w łuk podał, ona swoją wsunęła i szli do jadalnéj sali, a za nimi wszyscy. Do Emilii zbliżył się razem Edward i Jan, ale Edward spostrzegłszy chęć Jana z uśmiechem się usunął.

Po bulionie nastał taki gwar, że dwie osoby zwykłym głosem rozmawiające mogły bezpiecznie tajemnice sobie powierzać. Emilia korzystając z tego, rzekła do Jana przy niéj siedzącego: „Jam pana dzisiaj w kościele zaraz poznała.« — »A wczoraj?« zapytał Jan. — »Wczoraj?!... o wszystkiém zapomniałam — ono mi tak boleśnie przypominało, żem już co droższego straciła — lub też — .....« Tu spuściła oczy, wzięła z przed siebie szklankę wody, nagle ją wypiła, bo chciała łzy gorące gwałtem się cisnące ugasić — tylko rumieniec pokrasił jéj lica. Jan z czułością spojrzał na nią i milczeniem uszanował jéj smutek.

Edward siedzący naprzeciwko, zwrócił jego uwagę na portrety familijne, którym się Jan z wielką pilnością przyglądał, i tak długo niemi zabawiał, aż poznał, że Emilia, uzbrojona w siłę, potrafi mówić o najboleśniejszych przygodach bez oznaku powierzchownego żalu. Czułe tylko serce mogło odgadnąć cierpienia jéj duszy, po lekko drżącym głosie, po zblednieniu lic i tak już bladych.

»Pani posiadasz wielką moją tajemnicę od chwili naszego widzenia się przy zmarłym Marcinie« rzekł Jan. — »Bądź pan spokojny — tylko samemu panu Lirskiemu wiadomo, że znam druciarza, i samemu druciarzowi, że znam pana Lirskiego.« — Potém mówił o szlachetności i dobroci Edwarda, o swojéj przyjaźni dla niego. — Emilia czasem się uśmiechnęła, czasem lekko zarumieniła.

»O pani mówiłem także z Edwardem, powiadał, żeś pani sierotą, że masz jednego brata daleko stąd.« — »Pan go może znasz?« cichym głosem zapytała. — »Znam, jutro na Marcina pogrzebie obszernie o tém pomówimy.«

Myśl, że on zna jéj brata, a może z nim w przyjaźni, zrodziła w Emilii sercu rodzaj otwartego wylania. Śmiało spoglądała na Jana, z roskoszą słuchała słów jego, ona w nim widziała cząstkę swego brata, bo byli braćmi niedoli. Nawet w twarzy i głosie upatrywała między nimi jakieś podobieństwo, choć dziesięć lat bardzo obraz brata w jéj umyśle zatarły.

Wstano od stołu. Emilii oczy jaśniały weseléj, serce biło radośniéj, bo myślała, że się dowie o bracie. Edward zbliżył się do niéj i pół prawdą, pół żartem zapytał: »Wie też pani, że to dziś pogrzeb?« Zawstydzona spojrzała koło siebie, widziała, że nie sama wesoła. Twarze wielu mężczyzn krasiła jakaś dzika radość, a pan Ignacy patrząc na nich pocierał czupryne, bo widać, że uczciwie było na pogrzebie, że wina nieżałowano.

Towarzystwo rozproszyło się po pokojach. Młodzi mężczyzni i kobiety swobodnie rozmawiając żartowali; starsi i księża tabaki zażywali, przeplatając rozmowę konceptami łacińskiemi. Śmiechy głośne często się rozlegały. Emilia z Edwardem stali we framudze okna. On patrzał w jéj oblicze — ona w szyby okna. On smutny, niespokojny, mówił jéj o swéj przyszłości, o szczęściu — ona siląca się na wesołość i uśmiech — oszukałaby wszystkich, ale nie Edwarda. »Nieuśmiechaj się pani tak płaczliwie« — mówił do niéj. »Błagam panią, powiedz mi, czy te łzy śmiechu są szczęściem dla mnie, czy tylko litością?« — »Niebadaj mię pan, niebadaj!« odpowiedziała, a z tém słowem jedna łza się wykradła — i spłynęła po licu — ona się odwróciła — prędko ją ręką otarła i nikt tego niedostrzegł.

Gości zaczęło powoli ubywać; wszyscy kontenci wyjeżdżali z pogrzebowéj stypy, mało czyje serce uwoziło boleść, litość nad sierotami i wdową, bo mówili: że nieboszczyk zostawił piękny majątek. Pan Ignacy tylko po kilka razy żałując brata dodawał: »Co za strata dla dzieci, bo jakiby im był przyrobił majątek.«

Na pożegnanie Edward stanął przed Emilią blady i z troską na czole — ona chciała się uśmiechnąć, i zabłysnął w oczach i na ustach uśmiech — ale uśmiech konającego. On spojrzał — zadrżał, i spiesznie się oddalił. Ona wyszła do ogrodu. Szybko przebiegała ścieszki i trawniki, bo to spojrzenie jak sztylet zabójczy wisiało nad nią; napróżno uciekała, czuła że je unosi ze sobą. Zmęczona rzuciła się na darniową kanapkę. Myśli jak chmury pędzone wiatrem snuły się po jéj głowie. Nagle pamięć matki stanęła między nią i Edwardem, a słowa wymawiane konającym głosem: »tylko przyjaciel brata niech będzie twoim mężem« jakby ognistémi zgłoskami wyryte w jéj sercu, wydały smutne i przeciągłe echo. Zakryła się tém przypomnieniem jak tarczą bezpieczeństwa, pod tą zasłoną uczuła się silną. Wszakto jutro miała się dowiedzieć o bracie, przed tą myślą zniknęły inne, przez jéj światło patrzała na wszystko, bo miłość ku niemu głęboko tkwiła w jéj duszy, choć ją karmiła tylko wspomnieniem. Nadzieja rozlana w wiosenném powietrzu, i jéj strapionemu sercu się udzieliła; już teraz była spokojniejszą, bo uwierzyła w nadzieję. Miło

téż było pojrzeć téj chwili po świecie, .błonia jak aksamitem pokryły się drobniuchną trawką, drzewa kwieciem, a nad tém wszystkiém unosił się lekki, ciepły wietrzyk, wydobywając z nich wonie balsamiczne, nakształt westchnień z piersi przepełnionych czystém uczuciem. Kilka gwiazdek błyszczało na szafirowém niebie, a w stronie, gdzie słońce zaszło, obrzuciło się lekką różową zasłoną. Jasność dnia osłoniona melancholią nocy, w półświetle ukazywała wszystkie przedmioty, i jakąś tęsknotę wlewała w całą naturę. Wszystko ucichło, tylko słowik nucił pieśń rzewną, dźwięczną — on czekał chwili natchnienia i samotności, bo jak mistrz przyrody śpiewał dla siebie, niedbając o słuchaczy. Emilia w téj chwili tak wszystko kochała, żeby była rada całą przyrodę objąć i przycisnąć do serca. Dusza jéj przepełniona miłością pragnęła wylania, i zatęskniła za sercem, coby z nią czuło i podzielało natchnienie. Myśl, często sługa serca, nasunęła jéj Edwarda — ale ona ją odepchnęła; ach! coby dała, żeby jego obraz wyrwać na zawsze z pamięci. Teraz myśl pchnięta wolą, nasunęła Jana, a jego obraz pełen rezygnacyi stanął jakby wzorem dla niéj. Jego przypomnienie zrodziło miłe, spokojne uczucie w jéj sercu. Jemu pewno mój brat podobien, pomyślała — a kto wie... Niedokończyła téj myśli, bo jéj się zdawało za wiele szczęścia. Westchnęła tylko, pomodliła się chwilkę za wszystkich cierpiących i tułaczy, i ze łzami rozczulenia w oczach, a z nadzieją w sercu wróciła do pokoju.

V.

Z chatki wyniesiono trumnę, zbitą z czterech białych desek, na niéj krzyż czarno malowany, godło wiary i poświęcenia, jak symbol spoczywającego w niéj ciała. Trumnę wstawiono na wóz zaprzężony parą końmi. Komoszka wyniosła święconą wodę, umaczała w niéj garść kłosów, pokropiła przytomnych i umarłego. A wdowa wydała krzyk boleści, krzyk dziki wiecznego rozstania. Stała pod ścianą chatki, ręce na dół spuszczone, dłonie załamane, twarz blada, oczy suche wlepione w trumnę, jakby trup, którego tam ducha zamknięto. Dzieci ciągnęły ją za fałdy odzienia i płakały, bo wszyscy płakali. Ale ona stała martwa — głucha nawet na płacz tych dzieci, jakby lice i serce miała z kamienia. Nierozumiała słów pociechy, które mówiła do niéj pięknie czarno ubrana pani, i nieobudziła się z tego letargu, aż na silne wstrząśnienie komoszki. Spojrzała koło siebie i z konwulsyjném skrzywieniem ust odepchnęła dzieci, a zakrywszy oczy dłoniami boleśnie zawołała: »Skądże ja wam wezmę chleba, kiedy on nieżyje!«

Czarno ubrana pani mówiła do niéj: »Marcinowa! czyście zapomnieli, że Bóg na niebie, że on nieda sierotom z głodu umierać?!« Ona spuściła dłonie, popatrzała na twarz pani łzami oblaną, i rzekła: »Och! gdyby wszyscy tacy byli na świecie, jak pani!...«

Konie zwolna ruszyły; zatrzymano się przed figurą i trumnę odkryto. Wszyscy poklękli, a komoszka głośno odmawiała litanią za zmarłych. Po pacierzach prosiła przytomnych o zapomnienie wszystkiego złego nieboszczykowi; każdy spojrzał do otwartéj trumny i powiedział »wieczny odpoczynek« na ostatnie słowo pożegnania. Orszak pogrzebowy dążył do przyległéj wioski, wszyscy zdziwieni patrzali na panią, że idzie za ciałem porówno z nimi — i błogosławili jéj w duszy.

Z cichością zaszli przed kościółek parafialny. Trumnę postawiono na środku kościoła, na małych drewnianych marach, przy niéj dwie świece. I dwie świece zapalono na ołtarzu, a ksiądz odprawiał mszą za duszę zmarłego. Jasny dzień oświecał kościół, milczenie przerywane tylko półgłosem kapłana odbywającego ofiarę, przytomni nieustrojeni w szaty żalu — a jednak wszystkie twarze okrył smutek krepą żałoby, i widać ją było jasno, wyraźnie, zarzuconą na wszystkie serca. Przy trumnie z drugimi klęczała i pani. Po rozpoczęciu nabożeństwa słychać było stąpanie przybywającego, ona się nieobróciła, poznała jednak, kto idzie. Przybyły ukląkł za nią i zaszeleścił drutami.

Po mszy ruszono z umarłym ku smętarzowi, leżącemu opodal wioski. Ksiądz z organistą śpiewali psalm żałobny, a jękliwe i przeciągłe głosy dzwonów roznosiły żal w powietrzu, jak zwykle po stracie każdego dziecka kościoła. Nad grobem postawiono trumnę, ksiądz ją poświęcił i wpuszczono umarłego. Każdy z przytomnych rzucił garść ziemi i po chwili usypano wzgórek, a na nim zrobiono krzyż ręką.

Druciarz stał smutny przy grobie. Nagle wzniósł czoło ku górze i mówił: »Umarły ma przynajmniéj tę cząstkę szczęścia, że składa kości w ziemi rodzinnéj — bo iluż to z ostatniém tchnieniem niebłaga o garść téj ziemi na oczy! Oni czują, że jéj miłość prowadzi do nieba. Zaświeci ta ziemia szczęściem prawdziwém, bo strąci Bóg złe i pyszne, nietchnące miłością i sprawiedliwością.« — Słuchacze wlepili wzrok w niego z poszanowaniem, gdyż twarz jego malowała silną wiarę w słowa, które mówił. On popatrzył po słuchaczach, bo się chciał przekonać, czy go zrozumieli. Odgarnął czarne długie włosy na obie strony czoła, odrzucił burkę z prawego ramienia, że aż druty na nim przewieszone zachrzęsz-

czały, jego postawa wzniosła przybrała powagę, i mówił jakby natchniony, jakby niewiedział, że ma słuchaczy.

Mówił wiele o poświęceniu — o cierpieniach — a spoglądając na grób wiele i wymownie powiedział o nędzy i ciemnocie. Potém wzniósł oczy ku niebu jak do modlitwy, twarz mu zajaśniała radością i pojrzał nagle naokół siebie, jak gdyby szczęście tam dopatrzone chciał rozrzucić po świecie. Słowa jego były czarujące, bo już dawno przestał mówić, jednak wszystkich oczy były weń wlepione, usta na pół otwarte, serca mocniéj bijące. A brzozy rosnące gdzie niegdzie po grobach szeleściły drobnemi listeczkami, jakby przypominały, że i one były martwe, a jednak z wiosną odżyły.

Druciarz zbliżył się do pani i pokłonił ku ziemi czarnym okrągłym kapeluszem, zagadał do niéj parę słów niepolską mową. Ona bardzo zmieszana coś odpowiedziała. On się pokłonił wszystkim, polecił Bogu, i szedł ku lasowi.

Pani wracającéj do domu z żałobną drużyną zaszedł drogę gajowy, prosząc o pomoc dla chorego dziecka. Zwróciła się natychmiast ku jego chacie. Szli lasem i coraz większą gęstwiną — a pani serce za każdym krokiem prędzéj i mocniéj biło i lica zdawały się bledszémi. Uszli spory kawał w milczeniu, kiedy usłyszeli trzykrotne wołanie: gajowy trzykrotnie odpowiedział, i szedł w stronę, skąd głos dochodził. Ona wtedy zapytała drżącym głosem: »Czy wy dawno znacie tego druciarza?« — »Wszakże to mój dawny porucznik, poczciwe panisko — po tylu latach, Bóg wie, skąd się znów w te strony wzięło! W téj burce zarazem go poznał, choć to od bitwy pod Maciejowicami jak my się niewidzieli.«

Weszli na równinę w koło opasaną zagajeniami, gdzie rosło kilkanaście dębów. Nagle gałęzie zachrzęściały, a z gęstwiny wysunął się druciarz. Pani drżała jak liść osiny, kiedy się do niéj zbliżył, wziął ją za rękę, i zawołał: »Emilio! Jakto — jeszcześ mię niepoznała? jam Jan, twój brat!« A w jego głosie i spojrzeniu tyle było miłości braterskiéj, że choć ledwie lekki cień obrazu zachowała jéj pamięć, poznała go jednak od razu, i z ufnością rzuciła mu się do szyi. On składał pocałunki braterskie na jéj czole, i łzy rozczulenia mięszał ze łzami siostry. Milczeli — bo dusze, zmysły i cały świat zlali w uczucie, potężniejsze nad słowa.

»Chwile pobytu z tobą są krótkie« rzekł nareszcie — »musimy się rozstać.«

»Może na zawsze!« zawołała żałośnie siostra, i z konwulsyjném drzeniem schwyciła go za rękę. »O! zostań, zostań przynajmniéj dzisiaj!« — »Zobaczymy się, mam przeczucie« odrzekł z spokojnością. »Dzisiaj zostać niemogę! Gwiazdy naszego przeznaczenia wypuszczone z jednego punktu, uleciały w przeciwne strony — moja poślubiona wszystkim — twoja leci samotna. Słuchaj! kochasz ty Edwarda? On godzien ciebie.«

W téj chwili Edward klęczał przed Emilią w milczeniu; patrzał w jéj oblicze jak w cudowny obraz, bo piękną była z témi łzami miłości braterskiéj w oczach; ta miłość jaśniała na jéj twarzy jakby zapalona iskrą promieni słońca, które nad nią świeciło.

»Edward jest bratem moich uczuć; możeż go nazwać bratem krwi mojéj?« rzekł Jan spoglądając czule na siostrę. Ona podała Edwardowi rękę — on ją okrywał pocałunkami. A słowa: »moja, na zawsze moja!« — »twoja, na zawsze twoja!« powtarzały usta kochanków. — Ujął Jan złączone dłonie kochanków, przycisnął do swego serca, wyrzekłszy nad nimi słowa błogosławieństwa. Uścisnął siostrę czule, rzucił jéj to bolesne spojrzenie pożegnania, które w kochającém sercu na zawsze zostaje, i jakby się bał, aby błagania jéj zamiarów jego niezachwiały, wyrwał się nagle od niéj, i powiedziawszy: »zobaczymy się w szczęśliwszéj chwili« zniknął w gęstwinie. I Edward uścisnął jéj dłonie i zniknął za nim.

Ona stała blada i martwa, jak z głazu, patrzyła długo za nimi, wyciągnęła ramiona, natężyła słuch — doleciał ją tylko odgłos łamanych gałązek, a potém — cisza. Tylko drzewa jakby ciężkim jękiem zaszumiały nad jéj głową, bo od zachodu wznosiła się zwolna chmura. Słońce jeszcze jaśniało, cisza zaległa na ziemi, choć nad nią wisiała burza i pioruny.

Gajowy stał przy Emilii — na jego zżółkłéj i pomarszczonéj twarzy zawisła jedna łza. Ona spojrzała na niego i wzrokiem dziękowała mu za spółczucie. Gajowy ją zrozumiał, bo mówił: »Ja tak kocham porucznika, jak moją żonę i dzieci, on wróci w szczęśliwszéj chwili, bo co powie, to pewno dotrzyma.« — I w milczeniu przewodniczył Emilii do domu.

B. F.

Kilka uwag nad szkicem obrazu jednéj kobiety.

(Ciąg dalszy.)

Komuż niewiadoma historya pięknéj Zuzanny, małżonki Joachima w Babilonie?! Byłoto w czasie niewoli żydowskiéj *), kiedy pospolicie pod jarzmem

*) Daniel, rozdz. 13.

przemocy i despotyzmu tyranów żadna cnota świętą niejest, kiedy wszyscy podlegli są swawoli panów swoich, ich majątki, ich nietykalność, ich cnota, są wystawione na tandetę przemocy, podstępów, lub okrucieństwa. — Zuzanna umiała być wyższą nad wiek, nad czas, w którym żyła. — Dwóch starszych w Izraelu postrzegli na osobności Zuzannę kąpiącą się, zachwyceni jéj wdziękami, zapominają o swéj godności, wieku i stopniu, któren piastują w Izraelu, i chcą jéj względy pozyskać. Lecz naprózno. — Oburzeni jéj stałością, zamiast oddania cześci jéj cnocie, oskarzyć ją postanowili o niewiarę małżeńską. Zbrodnia ta, dowiedziona świadectwem dwóch mężczyzn, podług prawa Mojżesza pociągała za sobą karę śmierci. Starcy mieli wiarę publiczną. — Oskarzyciele mają być świadkami i sędziami razem. Prawo było przeciwko Zuzannie — bo prawo niesądzi sumnienia. Lecz mężna Zuzanna rzekła: „wolę umrzeć, niż stracić niewinność moją, — wolę wpaść w ręce Boga niewinną, niż żyć z niesławą i zgryzotą sumnienia« — i wydała jęk żałosny. Starcy wytoczyli sprawę przed lud i oskarzyli ją przed nim. Lud wzdrygnął się na samo wspomnienie zbrodni, i domaga się śmierci Zuzanny. Cała rodzina przybrała żałobę, dom Joachima wystawiony na hańbę, jędza piekielna unosi się nad głowami sędziów i ludu; śmierć i hańba co chwila ma pogrążyć na zawsze występną w przepaściach zapomnienia i podać jéj imie wiecznemu przekléstwu — sama tylko Zuzanna bez trwogi, bo czyste sumnienie nieda przystępu rozpaczy. Wyznaje przed ludem niewinność swoję — i Bogu obronę sprawy swéj poleca. Bóg nigdy niezawodzi, kto mu całém zaufa sercem: wyséla proroka Daniela, który wykrywa niewinność Zuzanny i zbrodnię kapłanów, a lud wzniesione do góry przeciw Zuzannie wymierzone kamienie, rzuca na zbrodniarzy — a niewinną i mężną Zuzannę z tryumfem do domu małżonka odprowadza.

Betulia, zamożna w żywność i mężów wojennych, chce złożyć broń przed nieprzyjacielem. Mężna Judyt gromi kapłanów i starszyznę o niewytrwanie i niemęzkie serce, i przynosi w bramy miasta głowę zwycięzcy, tyrana; — wtenczas właśnie, kiedy wszyscy mężczyzni o poddaniu się nieprzyjacielowi naradzają się. Prawda, że Judyt używa podstępu. Wódz Izraela byłby za ten czyn wożony w tryumfie, byłby wlókł przed swym rydwanem przedniejszych niewolników i głowę Holofernesa. Judyt pada na kolana, korzy się przed opiekunem ludów i cierpiącéj ludzkości, a dzieło wielkie w skromnéj modlitwie Bogu w ofierze składa.

Niechciała Judyt przeżyć hańby swojéj — postanowiła przeto umrzeć lub zwyciężyć. Bogu się więc powierza — Bóg ją wysłuchał.

Niebezpieczeństwo Betulii było podówczas widoczne, a przecież niepowiedzieli sobie mężczyzni, co późniéj wyrzekł Wirgili: »Rzućmy się w pośród broni nieprzyjacielskiéj, umrzyjmy;« jedyny bowiem środek ocalenia dla zwyciężonych jest, niespodziewać się ocalenia.

Matka Machabeuszów po stracie ojczyzny i znieważeniu praw boskich i ludzkich, zachęca synów swoich do wytrwałości, sama ich na męczarnie prowadzi i razem z nimi ginie.

A w dziejach nieśmiertelnych Grecyi, skąd wyszły wszystkich cnót i sztuk wzory — jak liczne zostały nam męztwa kobiecego przykłady! Czytaj kto chcesz Plutarcha życie znakomitych Spartanek, a przekonasz się, że największych w świecie ludzi największe wychowały kobiety.

Pewna Spartanka, mówi on, posłała syna swego toczyć bój z nieprzyjacielem ojczyzny. Zbiegłego z placu honoru i sławy nietylko się wyrzeka, ale własną zabija go ręką.

Demetrya, druga obywatelka Sparty, gdy syn jéj wracał z boju nie zwycięzcą, wydziedzicza go i zabija, mówiąc: »Nieprzystoi, ażeby z mężnych zrodzony, niemężny został się przy życiu.«

Teleucya, gdy pomiędzy powracającymi z niewoli Spartańczykami, oskarzono o niemęztwo żołnierzy i jéj syna Pedareta, napisała do niego w te słowa:

Matka Teleucya Pedaretowi synowi.

»Albo lepiéj żyj, albo w niewoli zostań.«

(Plutarch.)

Tak jest, były wielkie kobiety w Sparcie, bo mężczyzni niebyli zepsuci, niedali więc kobietom złego przykładu. Wytrwałość, męstwo i miłość ojczyzny, zamiłowanie bogów rodzinnych, dalecy od zbytków i rozpusty, Spartanie byli ludźmi najmężniejszymi w starożytności, a kobiety między najpierwszymi pierwsze trzymają miejsce. Mężowie i synowie ich ujarzmili Grecyą, a Grecya świat, bo ich Spartanki wychowały i wykształciły w cnocie.

Z oświatą tém bardziéj zaczęły się kobiety poznawać na swojéj godności i niejedną piękną kartę w historyi zajęły. Gdy mężny Perykles zwyciężywszy nieprzyjaciół ojczyzny wjeżdżał w bramy ateńskie, i w pochwalnéj mowie wystawił poległych Ateńczyków męztwo, otoczyły go ateńskie matrony, i ciesząc się ze sławy mężów i synów, poległych dla swobód i ojczyzny, zarzuciły wieńcami.

W Rzymie, w samych początkach wielkości, jaśnieją kobiety. — Lukrecya odbiera sobie życie, aby wydrzeć życie tyranom — a krew jéj niewinna staje się powszechném hasłem do powstania. — Kornelia, matka nieśmiertelnych Grachów, przewiduje zgubę najlepszych synów, lecz nieprzestaje ich do męztwa i dzieł wielkich zachęcać. Kornelia mieści się w rzędzie najświetniejszych Rzymu i świata kobiet.

(Dalszy ciąg nastąpi)

O sposobie leczenia krupy (Croup).

Widząc, iż od niesienia w pierwszych chwilach pomocy w téj chorobie, zależy najczęściéj życie zapadających na nią dzieci, uważamy za rzecz zbyteczną obszerniéj rozwieśdź się nad powodami, dla których umieszczamy artykuł o leczeniu krupy. Ileż to czasu zwłaszcza po wsiach nieupływa, zanim pomoc lekarska nastąpić może, dla tego sądzimy rzeczą być nader ważną dla rodziców i tych, którym dzieci powierzono, aby wiedzieli, co czynić mają w pierwszych zaraz chwilach téj choroby, by śmierć niechybną odwrócić. Na szczęście odkryto w najnowszych czasach sposób, którego użyć mogą i nielekarze, do odwrócenia grożącego niebezpieczeństwa i to w krótkim czasie. Tym sposobem choroba ta zatrważająca straciła wiele na swéj okropności. Niechcąc popełniać błędu w leczeniu téj choroby, potrzeba uważać przedewszystkiém na charakterystyczne jéj poznaki i objawienia się.

Na krupę zapadają zwykle dzieci, a szczególniéj chłopcy w wieku od 3 do 8 lat. Objawia się w każdéj porze roku, a szczególniéj w czasach zimnych wiosny i jesieni, przy panujących wiatrach północnych i wschodnich. Dzieci z odkrytą głową i szyją, zapocone i wystawione na zimne powietrze, lub krzycząc naprzeciw prądowi wiatru, łatwo ulegają téj chorobie. Często też do niéj przyczynia się dieta rozpalająca, z mięsiw i wina złożona, która niestety teraz w modę niejako weszła. Nieraz przyczyny szukać należy w szczególniejszym składzie powietrza, kiedy epidemicznie działa i o jeden czas na więcéj dzieci napada. Dotąd nierozwiązano zagadnienia, czyli choroba ta jest zaraźliwą lub nie; według wszelkiego prawdopodobieństwa przyjąć można, że niejest zaraźliwą, jednak w tak ważnéj rzeczy radzimy ostróżność.

Poznaki krupy są następujące: Naprzód występują symptomata katarowe, szybko powiększające się, i które najczęściéj połączone są z gwałtowną febrą. Rzadko w tych razach febra jest łagodna, ale bez febry nigdy się nieobejdzie.

Głównym poznakiem téj choroby jest kaszel szczególniejszy. Odznacza się chrypliwym, pogwizdującym, kraczącym (nakształt gdaczenia kur), czasem poszczekującym głosem; nadto jeszcze [illegible] i boleścią w gardle. Często kaszel ten poprzedza febrę i wzmaga się krzykiem i rozmową. W wielu przypadkach nabrzmiewa znacznie część górna gardła, a zawsze boli, jeżeli się jéj dotkniemy. Szczególniéj zważać należy na ten ból gardła, bo ile razy przystąpi do cierpień katarowo-febrowych, zawsze tam krupa może się objawić.

Ważnym też śladem téj choroby jest ciężkie oddychanie. Krótkie, trudne, lękliwe oddychanie, połączone z syczącym, pogwizdującym lub chrapliwym odgłosem, zawsze towarzyszy téj chorobie. Kiedy oddech coraz staje się trudniejszym, natenczas chorzy zwykli szyję przeciągać, głowę w tył, a ramiona w górę podnosić.

Ostatnim charakterystycznym znakiem bywa zmiana mowy, na chrypliwą i świszczącą. Jeżeli więc wszystkie te oznaki zbierzemy, natenczas przekonamy się, iż febra, kaszel kraczący, trudne oddychanie i głos chrypliwy, szczególnémi są znamionami krupy.

Choroba coraz gwałtowniéj się powiększa. Jeżeli ją zaniedbamy, lub pomoc niebędzie dosyć energiczna, a może i niestósowna, natenczas niebezpieczeństwo zwiększa się z każdą godziną. Widać niespokojność coraz większą po chorym, twarz nabrzmiewa niebiesko-czerwono, sino, często plamisto, zdaje się, że dzieci choroba udusi lub dotknie paraliżem, rzucają one w tył głowę, wyciągają ręce ku pomocy, czoło ich wilży zimny pot, żyły na szyi występują, oddech tak utrudzony i tak świszczący i przerażający, iż można go w wielkiéj odległości dosłyszeć. Przytém członki stają się zimne, oddech coraz nierówniejszy i trudny, kaszel chrapliwy i duszący, pierś zdaje się być przepełniona flegmą i ściśniona. Nakoniec zaczyna wrzeć w piersiach, niebezpieczeństwo uduszenia powiększa się, któremu też chory przed upływem piątego dnia ulega. W niektórych przypadkach stan ten przeciągnąć się może do dnia osmego, czasem już w drugim lub trzecim dniu śmierć następuje.

Od czasu, jak lekarze bliżéj téj chorobie się przypatrzyli, największego nabyli zaufania do mocnego krwi upuszczenia i do wielkich doz merkuryuszu (kalomeli). Skutek tego sposobu leczenia nieodpowiedział oczekiwaniu i stąd samo nazwisko choroby nieprzestało przerażać rodziców, przekonanych,

jakiém grozi niebezpieczeństwem. Odkąd zaś lekarze odstąpili od téj metody i użyli lekarstw womitowych, odtąd cierpienia te straciły na swéj okropności. Jeżeli środków womitowych zawczasu i silnie się użyje, natenczas można z pewnością liczyć na szczęśliwy skutek i poskromnienie choroby, byle czasu nietracić na przysadzanie pijawek lub dawanie innych lekarstw. Uratowano nawet dzieci ciężkiemi womitami, które od dni kilku na tę chorobę, coraz gwałtowniéj zwiększającą się, zapadły.

Choroba ta często tak szybkie czyni postępy, iż w kilka godzin od ukazania się grozi niebezpieczeństwem życia, przeto nie od rzeczy będzie, jeżeli pieczołowitym o swe dzieci rodzicom wskażemy środki ratunku, na przypadek, gdyby pomoc lekarska w pierwszych chwilach nastąpić niemogła.

Skoro dziecię dostanie kataru, połączonego z chrypką i bolesném uczuciem w gardle, kiedy ciężko i krótko oddycha i po obudzeniu się oddycha ze świstem, porusza szybko otworami nosa, podnosi ramiona i wciąga dołek serca (jako znak ciężkiego oddechu), natenczas właśnie jest chwila dania na womity.

Środek womitowy, używany z najlepszym skutkiem, jest następujący:

Weź: Antymonian potażu 5 gran,
wody destylowanéj 1 uncyą,
proszku na womity 1 skrupuł,
cukru 2 kwintle. *)

To wszystko dobrze skłócone, daje się dzieciom od roku do trzech lat po łyżeczce od kawy, starszym dwie łyżeczki od kawy, co trzy minuty, aż gwałtowne nastąpią womity. Na wsiach radzimy rodzicom, by zawsze mieli następujący proszek womitowy pod ręką: Antymonianu potażu 5 gran,
proszku na womity 1 skrupuł,
cukru jednę kwintlę. **)

Proszek ten rozpuszcza się w przypadkach potrzeby w dwóch łyżkach stołowych wody, kłóci się dostatecznie i daje w sposób wyżéj opisany.

Zwyczajnie trudno skłonić dzieci do womitów w czasie krupy, lecz niedosyć na tém, by womitowały, lecz żeby często i gwałtownie się niemi męczyły, a jeżeli po pierwszych womitach poznaki choroby nanowo się objawią, a szczególniéj trudny jest oddech, natenczas dzieci zmuszać należy do womitów i do męczenia się niemi. Łatwo one o cierpieniach zapomną, skoro tylko ulga nastąpi. Ktokolwiek w pierwszych chwilach wahać się będzie z daniem lekarstwa womitnego, ten śmierć dziecięcia sobie jeno przypisze.

Niejest to bynajmniéj rzeczą przesadzoną, jeżeli za pomocą środków womitowych, na 24 godzin, wzbudzimy dziesięc razy gwałtowne womity. Dzieci rok mające powinny w kilku godzinach przeszło połowę wyżyć tego lekarstwa, nienarażą się bynajmniéj na niebezpieczeństwo. Jeżeli womity są połączone ze zbyteczném wysileniem, natenczas dla ich ułatwienia radzimy drażnić gardło piórkiem maczaném w oleju.

Słabość dziecka niepowinna nas odstręczać od następnych dawań środków womitowych, gdyż one wyłącznie uwolnić mogą od niebezpieczeństwa. Słabość ta jest tylko pozorną, powstałą z trudnego oddechu.

Skoro się oddech ułatwia i choremu cokolwiek jest lepiéj, powtórzyć należy womity. Śród womitów ułatwiających oddech, dawać należy dziecku co godzinę trzy do czterech kropel antymonianu potażu, dolanych do herbaty z korzonków ślazowych.

Leczenie to za pomocą środków womitowych nieusuwa wszystkich następnych słabości w téj chorobie, jakkolwiek zasługuje na wszelką ufność i zagradza po największéj części grożącemu niebezpieczeństwu. Nienależy zaniedbywać porady lekarskiéj tak śród choroby, jakoteż tam, gdzie po krupie chrypka, kaszel, pierś przepełniona pozostaje, bo te słabości o długotrwałe choroby przyprawić mogą.

*

*) Zapisując z apteki, należy następnie się wyrazić:
Rp. Tart. stibiati grana quinque,
Aquae destillatae unciam unam,
Pulveris Radicis Ipecacuanhae scrupulum unum,
Sacchari albi drachmam unam.

**) *Rp.* Tartari stibiati grana quinque,
Pulv. Rad. Ipecacuanhae scrupulum unum,
Sacchari albi drachmam unam.

ROZMAITOŚCI.

Lady Grange. W dawniejszych czasach dopuszczano się w Irlandyi wielkich okrucieństw. Za przykład posłużyć może Lady Grange. Miano ją w podejrzeniu, iż przeczytała niektóre papiery, dotyczące tajemnic państwa. W przekonaniu, że żadna kobieta niemoże dotrzymać tajemnicy, postanowili mąż i jéj syn przedsięwziąć środki ostrożności. Obadwa zaprowadzili ją nad brzeg morski, wsadzili na statek i przewieźli na wyspę odludną, pozostawiając ją własnemu losowi. Nikt z przyjaciół i jéj krewnych niewiedział, gdzie się podziała. Wszystkie poszukiwania były daremne. Na wyspie téj niebyło czém pisać, jéj więc los byłby pozostał na-

zawsze tajemnicą, gdyby własnemi włosami niewyhaftowała na płótnie dziejów swego nieszczęścia i swoich przygód. Pracę tę smutną i mozolną znaleziono w 30 lat po jéj śmierci. Z rąk do rąk przechodziła, nareszcie dostała się do familii. Zachowują to dziwne pismo aż po dziś dzień, jako pamiątkę czasów, których sobie nikt więcéj nieżyczy.

Ofiary z ludzi. Nad rzeką Boney w Afryce poświęcają mieszkańcy co trzy lata najpiękniejszą dziewicę, aby przebłagać złego ducha Ihu Ihu. Przy ujściu rzeki puszczają ją na desce, a potém z niéj zrzucają do morza, gdzie natychmiast staje się pastwą ryb. Wybrana dziewica dumną jest wyborem, bo wierzy, iż ją bóstwo poślubi.

MODY. — Paryż, dnia 30. Września 1840. Moda niezawisła teraz od chwil obecnych, ale od przyszłości. Lato już upłynęło, zima nadchodzi, a tymczasem oszczędne Damy donaszają swych ubiorów i kapeluszy. Mimo to, tu i owdzie pojawia się coś nowego i pięknego. I tak małe czepeczki z haftowanego muślinu tak się upowszechniły, iż wysilają się modystki jeno na garnitury, aby różnicę jaką taką wymyślić.

Blondyny, ile przewidzieć można, szczególniéj téj zimy za strój głowy nosić będą, już je Maurycy Beauvais zamawia w pierwszych fabrykach, i to we wzory kolorowe egipskie złotem przerabiane.

Zawsze uważałem domową toaletę za ważną bardzo tajemnicę w pożyciu małżeńskiém. Niejeden małżonek niechętnie widzi zaniedbanie się żony, i dla tego radzę zawsze z téj strony mieć się na baczeniu. Widzę to i u Paryżanek, które troskliwie w domu się ubierają. Teraz noszą białe suknie organtynowe z krótkiemi lub półkrótkiemi rękawkami i stanikiem bufkowym à la Victoria, maleńkie zielone lub lilijowe fartuszki otoczone fręzlą i rękawiczki bez palcy, koloru fartuszka. Niekiedy powłoka bywa dwoma lub trzema rzędami bufek z wstążek z kokardkami, w kolorze fartuszka osadzona.

Krótkie rękawki prawie wyłącznie na wieczorach się ukazują. Kapelusze i téj zimy będą małe, bo trudno przypuścić, aby wrocono się do dawnych wielkich, twarz zacieniających obwodów.

Gładkie szlafroczki, z gładkim stanikiem guzikami ozdobionym, i obcisłemi rękawami, używają teraz powszechnie do negliżu. Staniki u nich najwięcéj w kształt serca i po dawnemu fałdowane.

O dobieraniu kolorów w ubiorach.

(Dokończenie.)

Tam, gdzie wiele świateł używają, np. w teatrach, powinno być wystrojenie w jasnych kolorach. Niebieskiego, karmazynowego koloru trzeba się wystrzegać, a przed innemi różowego na ścianach lóż, bo ten przedstawia twarze zielone. Jasno-zielony kolor jest najstósowniejszym i nadaje wiele świeżości twarzom.

Toż samo prawidło zachować należy i w mieszkaniach. Kolor czerwony, pomarańczowy i fijołkowy wiele ujmuje wdzięku twarzom. Ciemne kolory trudno objaśnić. Z jasnych kolorów najstósowniejsze są żółty, jasno-zielony lub jasno-różowy, bo korzystnie wpływają na delikatność cery, po nich idą biały i szary.

Dla blondynek i brunetek te są kolory najstósowniejsze, które stanowią kontrast. Bardzo pięknie odbija od blond włosów kolor lazurowy, od czarnych kolor żółty i czerwony, właśnie dla swego kontrastu, niemniéj fijołkowy i niebiesko-zielony.

Rzeczy różowe niepowinny właściwie stykać się z cerą różową, bo ta ucierpi na tém porównaniu. Najlepiéj je przedzielić albo białémi koronkami lub blondynami, albo przynajmniéj lokami.

Blado-zielony kolor nadaje twarzom bladym, wydatną cerę różową, czerwone twarze przy tym kolorze jeszcze czerwieńszémi się wydają.

Fijołkowego koloru niepowinny używać blondynki, chyba, że jest ciemny, natenczas jako przeciwieństwo dobrze odbija. Ubiór fijołkowy nadaje blondynkom wyraz zielonawy twarzy, a śniadą cerę pomarańczowo zapala. Kolor pomarańczowy źle odbija od każdéj twarzy.

Blado-biały kolor, jak calico, stósuje się do bardzo bladych twarzy, a jeszcze lepiéj wyglądają one przy białych muślinach lub tulu we fałdy ułożonym.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz z krepy haftowanéj z słaniającém się piórem. Suknia z muślinu w pasy, stanik gładki wycięty w kształt scerca, a z przodu o jednym rzędzie guzików. Rękawy obcisłe. Szarfa krepowa.
2. Jedwabny kapelusz, strojny wstążkami, koronkami i kwieciem. Suknia z jasnego muślinu z spódnicą jedwabną. Suknia trzema ukosami osadzona, u których falbany koronkowe. Stanik na ukos ku ujęciu ściągany, koronkami osadzony. Przepaska szeroka z kokardką na boku. Rękawy półobszerne i koronką oszyte.
3. Kapelusz aksamitny. Suknia z ciemnego jedwabiu o kilku falbanach. Stanik bluzowy i półobszerne rękawy.
4. Ubiór mezki. Krótki surdut z okrągłémi połami, z kołnierzem szalowym aż do ujęcia, obcisłémi rękawami i świecącémi guzikami. Kamizelka jednokolorowa. Krawat ciemny.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

40.